Nr. 2. Lwów dnia 1. czerwca 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Wychodzi co 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje biuro Administracji Dziennika polskiego we Lwowie.

Przedpłata wynosi:

Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem:
rocznie 3 złr. 60 cent., półrocznie 1 złr. 80 cent., kwartalnie 90 cent.

Z przesyłką pocztową za granicę:
rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

Ogłoszenia

przyjmują się za opłatą 6 cent. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej 30 ct. za każdorazowe umieszczenie.

Całoroczni abonenci otrzymują bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Listy Nie-Juniusza.

List II.

O oświacie ludu.

Wspomniałem w poprzednim liście, iż głównym czynnikiem, pierwszym warunkiem jakiegokolwiek postępu oświaty ludowej jest szkoła, i że bez niej wszelkie usiłowania w tym kierunku podjęte wydadzą plon tak mały, iż bynajmniej on nie odpowiada podjętej pracy.

Cyfry, ktore tam przytoczyłem, a mianowicie odnoszące się do ilości szkół w stosunku do zaludnienia, tudzież do ilości dzieci uczęszczających do szkół elementarnych — dowodzą najlepiej, jak niskim jest stan ludowych szkół w naszym kraju. Dla czego tak jest? i co czynić, aby się stan ów zmienił na lepsze? — ten będzie przedmiot, który dziś zajmie naszą uwagę.

Przyczyn smutnego tego zjawiska w naszem życiu społecznem, szukać należy przedewszystkiem w tem, iż sprawą szkół ludowych dotąd po macoszemu bardzo zajmowali się ci, do których to należało. Niska dotacja nauczycieli, jak najgorszy stan seminarjów nauczycielskich, pozostawienie gminom do woli, czy mają zakładać szkoły, czy nie, brak wreszcie ścisłego dozoru nad uczęszczaniem dzieci do szkoły i nad przeprowadzeniem zasady szkolnego przymusu, to dowody owego macoszynego ze szkołą ludową obejścia.

W ostatnich czasach starano się złe częściowo naprawić. Zaprowadzono nowe seminarja nauczycielskie, i zaprawdę czas już było to uczynić — dotychczasowe bowiem mogły raczej ogłupieć nieszczęśliwego kandydata nauczycielskiego, niż dobrze przysposobić do jego apostolskiego zawodu. Zaprowadzenie jednak seminarjów, udoskonalenie w nich planu naukowego, i najlepszy nawet tych zakładów kierunek nie wystarczy póty, póki nie polepszymy b y t u n a u c z y c i e l i w i e j s k i c h.

Dotacja nauczyciela wiejskiego z wszelkiemi już emolumentami, wynosi u nas w przecięciu 174 zł. 91 c. rocznie, czyli 14 złr. 57 c. miesięcznie. Czy jest w stanie człowiek za taką pensję wyżyć? a cóż dopiero wyżyć tak, ażeby mógł swobodnie i spokojnie oddać się ciężkiej pracy swojego zawodu? Czyż mamy prawo żądać od człowieka, ażeby za pensję 14 złotych miesięcznie pracował z taką gorliwością i takiem poświęceniem, jakich wymaga stanowisko nauczyciela wiejskiego?

Gdybyż choć ta nędzna płaca wpływała regularnie i bez żadnych trudności! Ale przypatrzmy się, co się

dzieje. Wiemy jaki w gminach wiejskich jest zarząd — wiemy, że preliminarze dochodów i wydatków gminnych, że rachunki z obrotu funduszami, jakich ustawy wymagają, w znacznej części gmin nie istnieją wcale, w innych istnieją tylko na papierz — a kasa gminna, to jakiś przedmiot nieważki i nieuchwytliwy. Przychodzi termin pobrania pensji: u nauczyciela pusto już w kieszeni i pusto w żołądku, idzie więc do wójta upominać się o swój krwawo zapracowany grosz. Lecz w kasie gminnej pieniędzy nie ma — bo wszelkie inne wydatki idą u ludu pierwej niż wydatki na szkołę, a choć są pieniądze w kasie, to wójt z kasy nie ruszy, ale chce by nauczyciel z nim razem wyegzekwował opłaty szkolne od rodziców i z tego pensję swą pobrał. Poczyna się żebranina — trzeba wójta ubłagać, a choćby i paru kieliszkami wódki nakłonić, żeby od kontrybuentów ściągnął pieniądze, trzeba chodzić z nim razem od chaty do chaty, naprzykrzać się, prosić, żebrać. I nigdy nie wydobędzie nauczyciel wszystkiego, co mu się należy, nieraz musi opuścić, by choć cośkolwiek dostać i nie zginąć z głodu, a to, co zapłaci za wódkę dla pana wójta i panów gospodarzy, jest tak znacznym procentem, że się pensja jego znakomicie redukuje.

Z tego więc nauczyciel ledwie wyżyć może. Jeżeli mu się poszczęści, i dostanie lekcję w dworze, albo u p. rządcy, albo u księdza, łata biedę jak zdoła, i żyje z samego nauczycielstwa. Ale gdy się to nie uda? gdy wyłącznie zdanym jest na łaskę gminy? nie pozostaje mu nic innego, jak szukać ubocznego zarobku. Zostaje więc organistą, diakiem, albo pisarzem gminnym i pokątnym adwokatem włościan. To prosta droga do zupełnego moralnego upadku. Zamieniają się role: uboczne zajęcie staje się głównem, bo daje pewny dochód — główne, t. j. nauczycielstwo, staje się zajęciem ubocznem. Szkoła zostaje najzupełniej zaniedbaną. Czy dzieci chodzą, czy nie, oto on już nie dba — byle miał dochód z owego ubocznego zajęcia. Jest zupełnie zawisłym od gminy — czyż będzie przestrzegał pilnie, by dzieci uczęszczały? czyż będzie starał się o kary pieniężne na rodziców za zaniedbanie posyłania dzieci do szkoły? Nie! Bo ci rodzice, to panowie gromada — a gromada ma prawo oddalić go z nauczycielstwa — a wtedy cóż mu zostaje? Kij chyba żebraczy albo występek! Schlebia więc tej gromadzie, namiętności jej podsyca, rozpustę jej dzieli, bo nauczyciel, który z gromadą razem nie pije, nie mile jest przez nią widziany i — zamiast być czynnikiem oświaty i moralności — staje się raczej żywiołem demoralizującym. Lecz nie mamy prawa żalić się na to — bo zaprawdę kraj sam temu winien!

Póki te stosunki u nas pozostaną niezmienione, na nic się nie przyda reforma seminarjów nauczycielskich. Bo i któż do nich pójdzie? Kto zechce się skazać dobrowolnie na takie życie nędzne, bez zapewnienia żadnego na starość, na takie życie pełne upokorzeń i pokus, bo w niem bardzo często staczać przychodzi walkę między sumieniem z jednej, a głodem z drugiej strony. Na ludowych nauczycieli zatem kierują się najczęściej ludzie, którzy dla braku zdolności szkół wyższych kończyć nie mogą, albo dla braku moralnych kwalifikacyj z innych zawodów zostali wydaleni, kierują się ludzie, którzy już nic innego na świecie nie mają do czynienia. I nie dziwmy się temu. Głodne apostolstwo — to poświęcenie, do jakiego wyjątkowy tylko umysł jest zdolnym. Więc zamiast apostołów i krzewicieli oświaty, mamy krzywicieli tejże.

Póki zatem nie ulepszymy materjalnego bytu nauczyciela, póki go nie uczynimy niezawisłym od ciemnej gminy, póki nie podniesiemy go w społecznej pozycji a w skutek tego i we własnej osobistej godności — póty dobrych nauczycieli mieć nie będziemy, póty seminarja nauczycielskie nie będą zapełnione ludźmi zdolnymi.

Na to sądzono, iż wystarczy §. w ustawie, by każda gmina założyła u siebie szkołę, i by minimum pensji nauczyciela wynosiło 300 zł. rocznie. Bardzo poczciwe były chęci autorów owego paragrafu — ale pojęcie stosunków i potrzeb naszych bardzo płytkie. Żądają od gminy, by płaciła nauczycielowi 25 zlr. miesięcznie. Ale spytajmy, ile jest gmin wiejskich w naszym braju, które **mogą** taką pensję opłacać? Spojrzyjmy na biedne gminy górskie, albo rzucone na glebę piaszczystą — zobaczmy, jak tam lud żyje tylko z zarobku, a najmniej ze swej ziemi; — zapytajmy, ile on z tego zarobku, oddawać musi na podatki rządowe, krajowe, powiatowe, gminne, na opędzenie kosztów utrzymania kościoła, na drogi; ile z niego wydrze pokątny adwokat, ile bankier miejscowy czyli arendarz, który mu w chwili potrzeby z zabójczą przychodzi pomocą — a potem osądźmy, czy ta gmina może płacić nauczycielowi 25 zł. miesięcznie.

Czy je płacić **zechce**, choć może? To drugie pytanie, na które każdy, kto zna lud wiejski, odpowie przecząco. Przez tyle wieków w ciemnocie trzymany i poniżeniu, znający szkoły tylko takie, jakiemi one były dotychczas, t. j. prawie zupełnie bezużyteczne, nie może on dzisiaj, absolutnie nie może pojąć potrzeby oświaty. Ani paragraf ustawy, ani wymowa księdza proboszcza lub pana przełożonego obszaru dworskiego nie będą w stanie o tem go przekonać. „Wid dida pradida“ byliśmy bez szkoły, na cóż jej nam dzisiaj? Bo lud najtwardszym jest konserwatystą. A nie tylko u nas tak się rzeczy mają. W innych prowincjach, gdzie lud już znacznie oświeceńszy, owe 300 zł. dla nauczyciela zostały dotąd na papierze tylko. Bo ciemnemu trzeba wprzód kataraktę zdjąć z oczu, zanim on za-

pragnie mieć lampę naftową, i łożyć na nią z własnej kieszeni — a wyobraźmy sobie gminę z samych ciemnych czyż ona uchwali gazowe oświetlenie ulic? czyż zechce je opłacać?

Więc będziecie egzekwować owe 300 złr. Sprzedacie wieśniakowi krowę i konia, i domowy dobytek — a opłacicie ztąd szkołę? I cóż się stanie? Oto ta szkoła będzie mu nienawistną, zdzierczą instytucją, zamiast być kochającą i kochaną matką...

Skoro tedy tak się rzeczy mają, trzeba żeby **kraj cały utrzymywał szkoły**. Innego środka nie ma — gmina ich sama nie będzie utrzymywać jak należy. A nie sam wzgląd utylitaryzmu za tem przemawia, ale zarazem wzgląd prawa i słuszności. Powiedziałem w pierwszym liście, iż podniesienie ludu to święty dług, jaki pokolenie nasze ma spłacić. Biada synowi, który nie spełnia zobowiązań przez ojca zaciągniętych, który tem plami pamięć swego ojca! Dotychczasowy stan ludu szeregiem był tylko krzywd nieustannych — naszą rzeczą, skutki tych krzywd zagładzić. Klasy oświecone, zamożniejsze nie powinne się ociągać z ofiarami na ten cel, bo oświata ludu to **wspólny nasz interes**, a nie interes ludu tylko samego, bo gdy on będzie oświeconym, dla nas wszystkich lepsza otworzy się przyszłość.....

Wydatek ten wyniósłby 1 miljon złr. rocznie — a zaprawdę, źleby było z naszym krajem, i zwątpićby trzeba o nim zupełnie, gdyby dla ratowania całej przyszłości, nie umiał wydobyć kwoty 1 miljona złotych!

Do Polki,

wiersz Adama Mickiewicza,

dotąd nie drukowany *).

Jesteś piękna dziewica!
Oczy Twe malują szlachetność Twej duszy, — a lica?
To na obrazku. Twe serce dziecięce,
Te drogie skarby nieba, w czyje oddasz ręce?
Komu, komu je oddasz, aniele dziewico?
Świat ohydne swe dłonie do Ciebie wyciąga,
Szanuje Twą niewinność, lecz w duszy urąga.
Dziewico! czy też poznasz męża w ludzkiem ciele?
To może być Twój przyszły, — — dziewico Aniele! —
Przyszły?... Chciwie to imię uchwycić pobieży,
Lecz czy będzie mężem, od Ciebie zależy!
Widzisz na nim te gwiazdy w długim złotym rzędzie,
Tę układność w obejściu, choć myśli zwierzęce.....
I cóż to szkodzi, że myśli ma jakieś zwierzęce?
Będzie Cię kochał ślepo, bez pamięci.
Zepsucie?... Toż dla Ciebie mody nie poświęci.
Jak przyjemny w rozmowach, jaki zręczny, śmiały,
Jakie świeże ma usta, jaki chód wspaniały!
O, biada Ci, dziewico, jeśli tak wyrzekniesz,
Jeśli Cię omami pieniądz, suknia, ciało,
Z pięknej, tak wielkiej istoty — zostaniesz tak małą.
Obraz Boga, dziewica!
Oczy Twe malują szlachetność Twej duszy, — a lica?
To na obrazku. Twe serce dziecięce,
Te drogie skarby nieba, w czyje oddasz ręce?
Komuż, komuż je oddasz, aniele dziewico?
Posłuchaj przyjaciela! wiesz co to jest ziemia?
Jest to zwierza siedlisko, który się na tak liczne rodzaje rozplemia.
I śród zwierząt gromady na początku wieka
Bóg osadził człowieka,
Człowieka, który posiadł cząstkę Jego ducha.

---

*) Autentyk tego wiersza znajduje się na Litwie u bliskiego krewnego Mickiewicza. Miał go napisać w albumie jednej panny przed wygnaniem swem do Rossji. Dla dokładnego przekonania się, czy rzeczywiście jest to wiersz naszego znakomitego wieszcza, wypadałoby mieć autentyk w ręku, lecz ponieważ rzecz to niezmiernie trudna do uskutecznienia przy dzisiejszych policyjnych rządach, dławiących Litwę, musimy przestać na zaręczeniu czcigodnego b. właściciela ziemskiego w tamtych okolicach P., który w powstaniu 1863. r. stracił majątek i dwóch synów, poległych w boju, sam sterał swe zdrowie na wygnaniu, a gdy rozpoczął się latem przeszłego roku bój o wolność Francji, pobłogosławił na drogę swego trzeciego syna rwącego się do szlachetnej walki. Otóż ten zacny obywatel zapewnia, że widział sam na własne oczy owe album, i gorliwy o wszystko co tchnie ojczystą i zacną myślą, zrobił odpis wiersza za zezwoleniem samego właściciela.

Wiersz ten napisany jest widocznie na prędce bez dostatecznego wykończenia, ztąd n. p. ten zgrzytliwie brzmiący rym — aktorszczyzny do ojczyzny, ztąd myśl szybko rozwijająca się, nie wyrobiła w niektórych miejscach tej cudnej potoczystości, jaką się odznacza budowa wiersza naszego poety.

Byłyby to względy przemawiające za wstrzymaniem się z ogłoszeniem powyższego wiersza, gdyby nie inne powody, również ważne, a może i ważniejsze, skłaniające nas do uczynienia go własnością publiczną.

Każdy kto przeczyta z uwagą ten wiersz, przekona się, że nie należy on do pospolitych rymów. Czuć w nim potęgę, polot wyższego ducha. Przypomina on w skreśleniu ziemi Odę do młodości, a w ostatnim swoim ustępie wiersz: „Do Matki Polki.“ Ze względu przeto na samą treść, wahanie się ustać musiało.

Drugim powodem, iż podajemy go do druku, jest ta okoliczność, że przy niebezpieczeństwie przechowywania na Litwie wszystkiego, co mieści w sobie wzmiankę o ojczyźnie, i rozmyślnem a barbarzyńskiem niszczeniu przez Moskali wszystkiego, co w polskiej mowie jest drukowanem lub pisanem., boimy się, aby ten ślad twórczości naszego wieszcza nie zaginął zupełnie — tembardziej, że ogłoszenie przed światem ułatwi ostateczne zawyrokowanie o jego pochodzeniu.

W wierszu tym użyte imię Przeryty, przyznajemy się szczerze, dla nas wcale jest nieznane. Przejrzeliśmy słowniki encyklopedyczne, oraz spisy bóstw mitologicznych słowiańskich, skandynawskich i litewskich; lecz poszukiwania nasze nie wykryły żadnego podobnego imienia. Być może, że licentia poetica boginię litewską Praurimę przepolszczyło na Przerytę. Przemawia za tem sam charakter bogini, którą nazywają jeszcze Praurme, Pramžima i Pramžu. Przytaczamy tu ustęp o tej bogini z dziejów starożytnych narodu litewskiego przez Teodora Narbuta. Rękopism Piotra Biskupa tak mówi o niej: „Znajduje się u nich (Litwinów) cześć fałszywej bogini, z rozmaitemi zabobonami uwielbianej, którą Praurime nazywają na podobieństwo Westy albo Cybeli dawnego Rzymu. Przeczystą dziewicą, nad ogniem przełożoną, dawczynią życia lud prosty nazywa. Ogień też jej poświęcają — za wieczny miany, ponieważ na świątecznym jej ołtarzu gore bezustannie. Również panny sprawiające obrządek kapłanic są ku temu przeznaczone, które się nazywają Praurme; ich to ścisłym obowiązkiem jest: strzedz, aby ten ogień nie wygasł. Te dziewice do zgonu panieństwo zachowywać powinny, za złamanie którego przepisy praw krajowych surową śmiercią karzą.“ Stryjkowski, przywodząc ożenienie się książęcia Kiejstuta z Birutą, wyraźnie ją być mieni podobną kapłanką czyli westalką. Jakoż pod Połągą, na świętej górze, nad rzeką Niewiażą, w Wilnie i po innych miejscach były ołtarze, na których się ogień wieczny palił, strzeżony przez dziewice. Powszechność zwała je Wejdalotkami, Wejdalotemi po litewsku“ *).

---

* Dzieje starożytne narodu litewskiego przez Teodora Narbutta. Wilno. 1835. Str. 38 i 39.

Człowiek przez chciwość zysku obcował z zwierzęciem;
A gdy się nań zapatrzył i przejął narowy,
Wypędził z siebie bóstwo i został . . . . bydlęciem!
I przestał być synem Jehowy!
Człowiek poznał się, jednak nie wyrzekł: przepadłem!
Ha! widzisz to bydło w dziwne strojne płaty,
Wlekące się leniwie za powszedniem jadłem?
Śpią umysły, śpią serca, śpią kraje, śpią światy!
Są jednak między ludźmi i wyższe istoty,
W ręku rószczka oliwna, na czołach błękity, —
To są synowie Boga, to zbawcy Przeryty,
To są . . . . . ludzie! . . .
Bóg w sercu, w ustach Boska mowa,
Mowy tej l u d z k o ś ć osnowa,
To mowa . . . poświęcenia.
Bóg wlał w te młode serca chwałę odrodzenia...
To są . . . . posłannicy! .
Posłannik tylko godzien anioła dziewicy.
Poznasz go po tem czystem uczuciu w wejrzeniu,
Po miłości — dalekiej od czczej aktorszczyzny,
A nadewszystko po drżeniu na wzmiankę — Ojczyzny.
Wówczas klęknę przed Tobą, aniele dziewico!
Lecz wprzód, nim zostaniesz żoną posłannika,
Ucz się w ponurych nocach gadać z szubienicą,
Aby, gdy nadejdzie nieszczęścia godzina,
Kobiece serce znieść mogło zgon męża lub syna.

Ołomuniec

Wspomnienie z lat 1864 i 65

przez

Tadeusza Romanowicza.

— Przygotuj się pan do drogi, jutro wieczorem wyjeżdżasz do Ołomuńca, rzekł mi kapitan więzienny z urzędową miną w obecności profosa bardziej może jeszcze poważnego.

Na takie *dictum*, którego zresztą od paru tygodni się spodziewałem, nie pozostało mi nic innego, jak począć zbierać manatki; chociaż prawdę powiedziawszy, było mi nieco markotno, po przebyciu ciężkiej gorączkowej choroby, wybierać się do fortecznego więzienia, które wyobraźnia nasza w niezbyt miłe stroiła barwy.

Razem zemną wyjeżdżać mieli: Fortunat Stadnicki, który przed r. 1848 dziesięć lat przesiedział w Kufstejnie, sędzia Izydor Dymidowicz z Krakowa, Marceli Drohojowski z Czorsztyna, Cezary Haller i Jan Czernecki.

Przygotowania do drogi, pożegnanie z rodziną i kolegami więzienia, których wówczas jeszcze bardzo wielu było we Lwowie, zajęły nam tyle czasu, żeśmy się ani spodzieli, jak na drugi dzień wieczorem pozamykano wszystkie kaźnie, i wyprowadzono nas na dziedziniec. Korytarz więzienia karmelickiego, dotychczas zazwyczaj tak ożywiony rojącymi się po nim tłumami kolegów, teraz, kiedyśmy go po raz ostatni ujrzeli, dziwnie się smutnym wydał i ponurym, a brzęk naszych kajdan harmonijnie wtórował tonom, jakie odezwać się muszą w najodważniejszej piersi, kiedy się na czas długi opuszcza kraj i rodzinę, kiedy się ma przed sobą całe jeszcze lata nowego, nieznanego więzienia.

Na dziedzińcu ustawioną już była nasza wojskowa eskorta. Major wystąpił z przemową bardzo nie na czasie, wzywając byśmy los nasz mężnie znieśli, co z naszej strony oczywiście śmiech tylko wywołało. Przed bramą więzienia zebrała się liczna gromadka ludzi — toż przezorna komenda kazała omnibusom zajechać na sam dziedziniec, i liczną nas obsadziła strażą. Na dworcu kolei przywitał nas tłum cały złożony z krewnych, przyjaciół, znajomych, publiczności wreszcie, która nie jak na widowisko przybyła, ale prawdziwie szczerą objawiła nam sympatję. Poczciwe nasze panie uprosiły w komendzie, by im pozwolono urządzić dla nas na dworcu herbatkę — i tak posileni, żegnani łzami i serdecznemi uściskami rąk tylu przyjaciół, wsiedliśmy do wagonów, a obok nas żołnierze, którym ostentacyjnie w oczach naszych kazano broń nabić.

Jeszcze jeden uścisk — okrzyk jeden — setki rąk podniosły się w górę z oznakami pożegnania, i pociąg ruszył...

Nie będę opisywał całej podróży. Do Krakowa jeszcze i do szląskiej granicy, wcale ona była przyjemną. Pomimo nocnej pory na każdej większej stacji ktoś nas oczekiwał, wszędzie bowiem znajomi uprzedzeni byli o naszym przejeżdzie. Od szląskiej granicy już nas obce zawiało powietrze — na dworcach nie słychać już polskiej mowy, a przeciągłe wołanie chłopaków i dziewcząt: Frisch Wa...asser! przypominało nam, że rozsiadła się niemczyzna na poczciwej glebie słowiańskiej. Piękne tylko ruiny Starego-Jiczyna, Heldsteinu i innych zamków, rozrywały nas nieco w tej niemiłej podróży.

W Boguminie, gdzieśmy stanęli na obiad, spotkaliśmy się z kilkoma delegatami galicyjskimi, którzy właśnie jechali do Rady Państwa. Słyszeliśmy wiele pięknych słówek, jak to pierwszem tych panów staraniem będzie, upomnieć się o nas, wyjednać nam amnestję i t. p. Obietnice nie wiele kosztują...

12go Listopada 1864, około 5tej wieczorem, stanęliśmy przed bramą ołomunieckiego więzienia. Zacząłem się rozglądać w około siebie, gdy w tem usłyszałem kapralskim tonem wypowiedzianą komendę: *„also marsch hinein“*. Wdzięczny byłem profosowi, że nas tym tonem przywitał. Dobrze to zaraz wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Dobrze wiedzieć zaraz, że wstępując w te podwoje, już się nie jest człowiekiem, ale *„ein Sträfling“*.

Wprowadzono nas na wąziutki, wybrukowany dziedziniec, ze wszech stron zamknięty. Po dziedzińcu przechadzał się jakiś człowiek wcale jeszcze młody, z długą po pas brodą, o wyżółkłej cerze więziennej i zapa-

dłych oczach, w czarnej konfederatce na głowie. — Widok tego więźnia bladego, nędznego, z tak cierpiącym wyrazem twarzy — na rozbudzoną naszą wyobraźnię przerażające wywarł wrażenie. Nie było czasu z nim mówić, bo profos pędził do kancelarji.

Tu zastaliśmy klucznika i pisarza. Pozapisywano nas do rejestru, poodbierano pieniądze, zegarki, wszelkie kosztowności, a nawet ślubne pierścionki — jak gdyby pierścionkiem można sobie kupić wolność! I widziałem łzę w oku najstarszego naszego towarzysza, gdy musiał zdejmować z palca pierścionek ślubny, który go już od 30 lat nie opuszczał. Biedny starzec — przeczuł może w tej chwili, że wdowcem wyjdzie z więzienia. W kilka miesięcy później zacna jego żona umarła w Krakowie.

Dziwnie to jakoś w świecie, że w chwilach przykrych, obok najsmutniejszych wrażeń, doznaje się zazwyczaj i wrażeń przyjemnych, które są jakby chwilowy błysk słońca wśród dnia pochmurnego. Czyż mogłem się spodziewać, że wśród ludzi, którzy z urzędu już swego jako dozorcy mniemanych zbrodniarzy nieraz ludzkie uczucie w piersi zatrzeć muszą, że mówię wśród takich ludzi, znajdę objaw uczciwego, czującego serca? A przecież tak się stało. Kajdany, w których nas przywieziono, musiały być zdjęte, i odesłane do Lwowa, jako własność tutejszego sądu. Sierżant, który nas eskortował, miał przy sobie klucze od kłódek, zamykających łańcuszki — nie wiedział jednak, który klucz od której kłódki. Klucznik więc miejscowy, który miał te kłódki otwierać, bierze klucze od sierżanta, i zwracając się do mnie powiada: „Sprobujmy na pańskie szczęście, czy znajdę od razu klucz od pańskiej kłódki.“ I rzeczywiście dziwnym trafem znalazł go od razu — a otwierając, serdecznie mnie ścisnął za rękę: „Masz Pan szczęście — powiada — to mnie szczerze cieszy.“ W prostym tym człowieku najpierwej odezwało się serce.

Z kancelarji wyprowadzono nas długim wązkim korytarzem do kazamat. Korytarz sklepiony, ciemny zupełnie — u stropu widne tylko długie czarne rury wychodzące z każdej kaźni, a łączące się w górze — po obu stronach korytarza drzwi od kazamat, a w drzwiach małe kwadratowe szyby, przez które dozorcy zaglądają do wnętrza — nad każdemi drzwiami blaszana tabliczka z numerem. W szybkach tych ujrzeliśmy — nie twarze ale oczy tylko naszych kolegów z lwowskiego więzienia, którzy przywiezieni tu przed nami, witali nas serdecznie, ku wielkiemu zgorszeniu surowego profosa. Spotkał nas także ów więzień, którego widzieliśmy poprzednio na dziedzińcu.

„Koledzy ze Lwowa? polityczni? zapytał.

„Tak jest. Kolega także polityczny? i od dawna tu trzymany?“

„Od czterdziestego ósmego roku“ odrzekł głosem, w którym przebijała się okropność szesnastu lat ciężkiej niewoli. Był to Aleksander Vimpeller, w r. 49 jako dezerter z austryackiego wojska do węgierskiego powstania schwytany, a jako taki żadną jeszcze amnestją nie objęty. Wszedł tu młody — pomyślałem — sił pełen i nadziei i czerstwości młodzieńczej, a dzisiaj... i siły upadły, i przyszłość już cała zamknięta, i nadzieje wszelkie pogrzebane w tym wale fortecznym.

Z zadumy wyrwał mnie znowu szorstki głos profosa zwyczajną komendą: „Marsch hinein.“ Byliśmy już bowiem na końcu korytarza, przed otwartemi drzwiami przygotowanych dla nas kazamat. Po chwili drzwi z łoskotem zamknęły się za nami. Z Hallerem i Drohojowskim zostałem w jednej — Stadnicki z Czerneckim w drugiej kazamacie.

Ujrzeliśmy się w wielkim pokoju tak sklepionym, że pochyłość sklepienia poczynała się prawie od samej ziemi. Naprzeciw drzwi wielkie okno uzbrojone kratą, i gęstą, drucianą siatką — wymyśloną chyba na to, żeby wzrok psuć więźniom — bo gdy słońce padało na przeciwległy biały mur, siatka tak majaczyła przed oczyma, że i najzdrowsze oko osłabić się tem musiało.

Więzień — zamknięty w nieznanej jeszcze celi — idzie zawsze najprzód do okna, by zobaczyć, jaki też przed nim widok? Przed oknami naszemi, nie więcej jak o ośm kroków, wznosił się budynek, także mający pozór więzienia, a tak wysoki, że zasłaniał nam zupełnie widok nieba, którego mały szmat tylko można było widzieć, a i do tego trzeba było stanąć na wysokiem oknie. To klasztor PP. Urszulinek — najstosowniejsze z więzieniem sąsiedztwo. Pod klasztorem wprost naprzeciw okna naszego stał szyldwach, i przypatrywał nam się uważnie.

Towarzysze moi tymczasem poczęli się rozgospodarowywać. Znaleźliśmy w kaźni łóżko żelazne, stół, jedno krzesło i ławkę. W kącie był mały żelazny piecyk, a pod nim drzewo, które nam rozdawano w ściśle obliczonych a dość skąpych dawkach. Pierwszą więc naszą czynnością było, zapalić w piecu. Po chwili wszedł profos, i uzupełnił umeblowanie: wniesiono bowiem za nim po dwa łóżka, stoły i krzesła — tudzież sienniki i koce żołnierskie.

Kuferki nam poodbierano — a zostawiono tylko pościel. Pościeliliśmy łóżka — posilili się nieco — a zmęczeni podróżą i silnemi wrażeniami ostatnich dwu dni, rzucili się co prędzej na łóżka. Cisza już panowała grobowa — i tylko od czasu do czasu słychać było ostrożne kroki profosa, który po cichu, na palcach chodził od kaźni do kaźni, i zaglądał przez szybki, zwane u nas wizytyrkami. Ale ucho więźnia czujne i wprawne, najlżejszy krok dosłyszy — toż biedny profos

na coraz nowe wpadał pomysły, a nawet później chodził w berlaczach (tu by można je najwłaściwiej za jednym z naszych gramatyków nazwać cichostępami) — lecz mimo to nie zastał nas nigdy nieprzygotowanych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod wrażeniem Ofelji.

Poezjo! ty nieba przeczysta mieszkanko,
Poezjo! ludzkości czarowna kochanko,
Wzniosłości twojej wdzięk, harmonijna całość,
Myśl jasna, duch piękna w tobie skamieniały,
Twej harfy życia dźwięk wieczystą ma trwałość,
Bo w tobie ludzkości grają ideały! —

Ty wzniosłym zachwytem gdyś się uśmiechnęła,
Jenjusz całą ludzkość wcielił w arcydzieła:
Anielskiej cnoty głos — i wir namiętności,
A w jednem, Ofelję — to dziewicze życie;
Czystą jak czystość ros, co tchnieniem miłości
Żyła kołysana w lubych snów błękicie.

Ofeljo, pod siłą mistrzyni zachwytu,
Jaśniałaś wdziękami w potędze rozkwitu;
Byłaś jak lilij kwiat, jak wiosenny ranek,
Melodją wśród życia, co w swe tony wciela
Tęskność dziewiczych lat. Gdy wielbił kochanek
To byłaś jak Psyche dłuta Praxytela. —

Lecz gdy twego ojca sen uspił na wieki,
Wtedy łzawe były Ofelji powieki,
Umysł jej jasny zbladł. Gdy wieńcem w jej włosach
Wonnych, lilij białych drżały amijanty,
To dziewiczy ten kwiat tonął już w niebiosach,
Pieszcząc słów muzyką czystą jak brylanty.

I serce jej pękło, a była dziewicą
Przelotną wśród życia jakby błyskawicą,
Lub jak jutrzenki brzask; postać tę uroczą
Z umysłem zamglonym, to miłości dziecko,
Cnoty wcielonej blask, głęboko, przeźroczo
Owiał duch w swych kształtach klasycznością grecką...
I w takim klasycznym spokoju przetrwała,
Dokąd nie odleciał duch z Ofelji ciała!

H. W.

TAJEMNICE
pałacu carów.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział III.

Car i cyganka.

Udając iż nie słyszy by kto wchodził, czarownica powróciła do pieca, poczęła poprawiać w nim ogień i znowu gotować kawę.

Gdy tak była zajęta, we drzwiach izby ukazał się mężczyzna słusznego wzrostu, osłonięty oficerskim płaszczem.

Stara dostrzegła go niezawodnie, ale jak rzekliśmy wyżej, udawała, że nie widzi i spokojnie zajmowała się warzeniem kawy.

Oficer patrzał na nią czas niejaki, ale zdawało się, iż niebył przyzwyczajony czekać, gdyż po kilku minutach tupnął nogą i zawołał zniecierpliwiony:

— Cóż to, stara czarownico czyś głucha czy ślepa?

Marfusza zwolna odwróciła się, i poszła uważnie wpatrywać się w nowo przybyłego, nie okazując ani zdziwienia ani obawy: potem rzekła:

— Przychodzisz dowiedzić się ile ci jeszcze pozostaje życia... No, to słuchaj!

„Pierwej aniżeli wiosenne słońce ukaże się na nie„bie, wybije twoja ostatnia godzina. Naprzód ja, a „potem ty!.. każde z nas czeka spoczynku w grobie!“

A! trucizna, trucizna!... To rzecz doskonała!.. Nie w winie, ale w truciźnie znajduje się pociecha, i zapomnienie!..

Oficer utkwił wzrok w cygance, ale ani jeden muskuł jego twarzy nie poruszył się. Nie odpowiedział jednak nic; tym czasem cyganka mówiła dalej:

— Czy mój łaskawy pan zechce poczekać aż wygotuje się kawa — nie dlatego bym go zapraszała na nią, chociaż być może iż chętnie napiłbyś się jej odważnie gdybyś wiedział, że w niej jest trucizna — czy też mam radzić się kart?

Gdy wymówiła wyraz trucizna, oficer drgnął mimowolnie; ale usłyszawszy o kartach, w milczeniu kiwnął głową.

Stara usiadła za stołem i wezwała go, by także usiadł naprzeciw niej.

— Siadaj, siadaj, rzekła; wprawdzie ławka to nie tron, ale czasami bezpieczniej siedzieć na niej aniżeli na tronie.

Oficer usiadł i podparł czoło ręką, podczas gdy stara z ponurym wyrazem twarzy rozkładała karty. Potem zaczęła:

— Słyszysz! burza ucichła... poprzestała ona na pół zwycięztwie, okazawszy swoją potęgę na wschodzie... i twoi nieprzyjaciele postąpią tak samo, jeżeli...

Tu nagle urwała. Nieznajomy długo czekał, by znowu przemówiła: ale nie słysząc nic, zawołał zniecierpliwiony:

— Jeżeli!... Ależ mów kobieto co znaczy to j e ż e l i?

Stara jednak milczała, pilnie wpatrując się w karty, wreszcie rzekła z powagą:

— Karty nie mówią mi nic o przyszłości, ukazują tylko przeszłość, którą może już zapomniałeś... Nim się ugotuje kawa, z której wyjawię ci przyszłość, powiem ci co karty mówią o przeszłości.

I znowu poczęła wpatrywać się w nie.

Oficer widocznie niecierpliwił się, ale nie powiedział ani słowa.

Stara mówiła dalej:

— Ta piątka pikowa — to pięciu męczenników, których kazałeś powiesić...

— Kobieto! zawołał oficer.

Ale zdawało się, że cyganka nie słyszy tego, gdyż mówiła dalej:

— Jeden z nich miał córkę, cudne trzyletnie dziecko — jasnowłose, które się przebudziło, gdy policja opieczętowywała skromne ruchomości jej matki, potem nieszczęśliwą wdowę po wisielcu wraz z biedną sierotą wyrzucono na ulicę. Obie zostały żebraczkami; gdyż ten sam sąd, który skazał ojca na stryczek, czynił cara spadkobiercą po nim... Od tego czasu matka wraz z córką wiodły żywot nędzny, opłakany. Wypędzono je z Petersburga i zamknięto w odległym klasztorze na prowincji... by tam znosić z rozkazu cara...

— Milcz czarownico! zawołał oficer.

Ale nie zważając na ten wykrzyknik stara mówiła dalej:

— By tam znosić z rozkazu cara wszelkie możebne upokorzenia. Ale gdy ojciec i mąż umarł za wolność, więc matka i córka wolały także umrzeć raczej, aniżeli znosić niewolę... Udało się im uciec; a klasztor obawiając się kary za zły dozór, dał znać do Petersburga, że pomarły... Przybyły do stolicy. Matka utrzymywała się z pracy rąk i wiele doznawała niedostatku wraz z córką, ale przynajmniej były wolne.. Wolność ta jednak trwała nie długo... Pewnego dnia, przyszedłszy do swego małego pokoiku, napróżno matka szukała swej Anny... Anny nie było... Gedeonow, dyrektor carskich teatrów, który doszedł do tego stanowiska najnikczemniej wysługując się swemu panu...

Słysząc to oficer zmarszczył brwi, zacisnął pięście i zerwał się. Ale czarownica, nie odwracając oczu od kart mówiła dalej:

— Gedeonow zobaczył Annę na ulicy i okiem znawcy ocenił jej piękność. Z łatwością dowiedział się, gdzie mieszka i pod nieobecność matki Anna została porwana i osadzona w szkole teatralnej, tej uprzywilejowanej szkole rozpusty... Dziewczyna zanadto była dumną, by wyjawić rzeczywiste swe nazwisko. Miała zaledwie szesnaście lat, ale nieszczęście uczyniło ją wcześnie dojrzałą. Gdy więc zapytano ją jak się nazywa. odpowiedziała: Marya Asenkowa...

— Jakto? Asenkowa? zawołał oficer.

— Tak, Marya Asenkowa była córką powieszonego Rylejewa, odrzekła Marfusza powoli, ale drżącym głosem. Wkrótce Asenkowa przez swą piękność i talent stała się ozdobą teatru, zwróciła na siebie uwagę carską i musiała pójść tą samą drogą, co inne aktorki i honorowe damy pałacowe...

— Gdzież jest jej syn? zapytał nagle nieznajomy.

— Dziecię żyje, jeszcze odrzekła mu cyganka, ale matka już umarła; umarła przeklinając tego, kto był ojcem jej dziecięcia... a wśród tysięcy osób, przeprowadzających na cmentarz jej zwłoki, ani jedna nie wiedziała, że ten sam człowiek zabił ojca i córkę i że we własnym jego wnuku żyje mściciel...

— Zawiele wiesz, kobieto!.. lecz powiesz mi wszystko! musisz powiedzieć — zagrzmiał oficer, w którym czytelnicy poznali już pewno cara.

I jednocześnie pochwycił cygankę za rękę. Ale wyśliznęła mu się jak wąż i odpowiedziała zimno:

— Wiem tylko tyle ile mi karty mówią. Teraz z fusów kawy poznamy jaka będzie przyszłość...

I zlawszy kawę z fusów poczęła wpatrywać się w nie pilnie. Po chwili rzekła:

— Panowanie twoi we krwi się zaczęło i we krwi się skończy. Panowanie Mikołaja zajmie w historji skrwawioną kartę. Imienia Mikołaja nikt błogosławić nie będzie.

Car zerwał się. Twarz jego zbladła straszliwie, rysy wyraziły wściekłość tygrysią. Schwycił on znowu cygankę za ramiona i wstrząsając nią zawołał:

— Zawiele znasz przeszłość a twoje przepowiednie przyszłości są niejasne i ogólnikowe! nie dam się złapać na taki szarlatanizm!... Tajemnica którą posiadasz, będzie twoją zgubą!.. Mówiłaś o synie Asenkowej. Jak się on nazywa? gdzie jest?.. Mów, bo...

— Spytaj o nazwisko orła, unoszącego się w przestworzu; spytar o nazwisko tygrysa błąkającego się w pustyni...

— Powiesz, czy nie? krzyknął car. Ale Marfusza odrzekła:

— Nie boję się twojej szubienicy!.. Siła twoja nie sięga tam, gdzie sprawiedliwość przedwieczna wyciągnęła już swą rękę.

— Zobaczymy! Ale nim się dowiem, gdzie jest syn Asenkowej, w sekretnem więzieniu w twierdzy ty mi powiesz, kto jesteś sama!

— Kto jestem? odparła cyganka. Czyś nie poznał kobiety, która niegdyś wiła się u twych nóg, błagając o łaskę dla swego męża; tej samej kobiety, którą uwiedziono przyrzeczeniem przebaczenia. jedynie dla tego, by zrobić ją narzędziem zguby własnego męża!.. Miałam rozpaczliwą odwagę patrzeć własnemi oczyma, jak człowiek, którego kochałam nad życie, jak ojciec mego dziecięcia wstępował na rusztowanie, jak mu zakładano stryczek na szyję!.. I wtedy święcie poprzysięgłam sobie zemścić się nad katem, pomścić skrzywdzoną ludzkość! A ty mię nie poznajesz?., Prawda, że nie jestem tą dawniej piękną kobietą!.. lata, nędza, bezsilność, zo-

rały zmarszczkami twarz moją. Ozdoba salonów przeistoczyła się w cygankę, żona Rylejewa...

— A! to ty jesteś żoną powieszonego Rylejewa, mruknął car głucho.

— Tak, i — matką Asenkowej. A chcesz wiedzieć gdzie jest twój syn? Był on tam dokąd ty wyprawiasz wszystkich dobrych i szlachetnych. Czuły ojciec wysłał go na Sybir, by tam kopał dla niego srebro i złoto w Nerczyńsku... Ale powrócił, by pomścić swych przodków.

— To być nie może! rzekł car.

— Nie może? zemsta wydobędzie człowieka i z sybirskiego grobu.

— W takim razie musisz mi powiedzieć, gdzie się on znajduje.

— Nigdy! chcę by się zemścił za swoich — i dopiero na łożu śmierci dowie się, kto był jego ojcem.

— Zapominasz, kobieto, że mam środki wydobycia z ciebie tej tajemnicy.

Za całą odpowiedź cyganka poczęła śmiać się złośliwie.

Car pchnął ją silnie. Padając uderzyła się o róg pieca i krew jej trysnęła ze zranionego czoła.

Mikołaj nie widział tego, gdyż natychmiast wyszedł z izby, a po chwili słychać już było tentent jego konia w ulicy.

— Tu zwyczajna policja nic nie potrafi zrobić — mówił sam do siebie — poszlę Dubelta.

Rozdział IV.

Babka i wnuk.

Młoda kobieta, zamknięta w przyległym pokoiku, słyszała zrazu rozmawiających — potem wszystko ucichło. Przez niejaki czas sądziła, że Marfusza wypuści ą; ale napróżno czekała.

Poczęła więc pukać, z początku słabo, potem coraz mocniej. Nikt nie odpowiadał. Przestrach ją opanował.

Tymczasem do pierwszej izby wszedł cicho człowiek, mogący mieć dwadzieścia kilka lat. Miał na sobie zwykły płaszcz żołnierski, na głowie czapkę bez daszka; prawa ręka wisiała mu na temblaku; w skutek rany w lewą nogę chodził z trudnością, a szeroka blizna na twarzy zmieniła jego rysy. Gdyby nie to, byłby nadzwyczaj podobny do cara, który tylko co ztąd wyszedł.

Młody człowiek zatrzymał się na progu zdumniony. Niedaleko od niego leżała na ziemi cyganka nurzając się we krwi. Z drugiego pokoju słychać było gwałtowne pukanie.

Przybliżył się i zapytał:

— Kto tam?

— O! na miłość boską, puśćcie mnie!

Młody człowiek odsunął zasuwkę i z pokoiku wyszła kobieta, piękna jak dzień. Blada jej twarz wyrażała okropne przerażenie.

— Co tu się stało? zapytała, stanąwszy jak wryta przed leżącą cyganką.

Żołnierz nie umiał jej tego objaśnić — i sam zapytał, jakim sposobem znalazła się w drugim pokoiku.

Kobieta w kilku słowach opowiedziała mu, jak przed niedawnym czasem zaszła do cyganki; jak rozmowa ich przerwaną była przybyciem trzeciej osoby i jak Marfusza zamknęła ją w ciemnym pokoiku.

Podczas gdy to mówiła, młody człowiek podniósł cygankę i posadziwszy na ławce począł zmywać wodą ranę na skroni.

Powoli zaczęła przychodzić do siebie; otworzyła czy, powiodła niemi dokoła i znowu zamknęła; ale tylko na chwilę. Wszakże oczy te błyszczały już nie życiem, lecz ogniem gorączkowym.

Spojrzała naprzód na młodą kobietę, potem na żołnierza i szepnęła:

— Wiedziałam, że dziś umrę. On nie wie, że przyszedł tu, by przyjąć ostatnie tchnienie mej nienawiści.

Potem zwracając się ku młodej kobiecie rzekła:

— Teraz odejdź. Ostatnia moja godzina wybiła; nic już dla ciebie zrobić nie mogę. Nie mam siły robić dobrze i oddawna już zerwałam z aniołami... t. j. jak tylko przekonałam się, że nie są w stanie uratować tego, którego kochałam nad życie... wtedy oddałam się piekłu, by mi szatani dopomogli do zemsty... Teraz godzina zemsty już bliska — ale ja jej nie dożyję. Odejdź więc i zostaw mnie samą... Lecz zaczekaj jeszcze! Otwórz drugą szufladę małej szafki w kącie stojącej. Znajdziesz tam małe pudełko — podaj mi je.

Młoda kobieta spełniła ten rozkaz. Cyganka otworzyła pudełko drzącą ręką. Znajdowały się tam monety srebrne i złote, klejnoty i fraszki bez wartości. Cyganka wybrała z pomiędzy nich złoty pierścień zopalem i podała go młodej kobiecie, mówiąc:

— Opal, to kamień łez; weź ten pierścień, ale nigdy nie rozstawaj się z nim, choćbyś musiała żebrać na kawałek chleba. Nie uratuje on twojego męża, ale pomści go!.. Teraz odejdź — bo tylko kilka chwil życia pozostaje mi, a muszę bez świadków rozmawiać się z moim wnukiem...

To rzekłszy rozgryzła w zębach mały flakonik, który także wyjęła z pudełka.

Młoda kobieta wyszła.

Żołnierz słuchał w milczeniu i zdziwiony. Wyraz *wnuk*, zastanowił go. Ani on, ani młoda kobieta nie dostrzegli jak Marfusza rozgryzła flakonik. (C. d. n.)

Z wystawy dzieł sztuki

urządzonej przez

TOWARZYSTWO PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH

we Lwowie.

II.

Mówiąc o akwarelach przejdziemy do utworów znakomitego malarza, p. Franciszka Tepy we Lwowie, którego dwie główne prace w tegorocznej wystawie zajmują, mianowicie portret pośmiertny młodszego syna Krasińskiego poety, i „południenok."

W ostatniej — na południowy spoczynek stanęły w pługu cztery woły poczciwe, i sapią i dyszą; ciche, zacne pracowniki nieznane, nie głośne imieniem, znojem swoim dobywające bogactwa z łona ojczystej roli. Ani im za to uznania, ani wywdzięki nie widać od pana ich i jego parobka, zajętych jedynie sobą, bo oracz pomyślał tylko o swojej fajce a chłopak na ziemi ległszy, wsparty na łokciach, patrzy bezmyślnie przd siebie trzymając bicz w pogotowiu. — Ileż tu inticyi w ujęciu poważnej, posępnej strony żmudnego zawodu, że pominiemy charakterystykę psychiczną zwierząt. — Odpowiednio założeniu wykonanie raczej szkicowe, twarde, nieokrzesane, bo twardym też i po grudzie ten żywot oraczy. Zarzut niejaki możnaby uczynić samej kompozycji; nieco za mało związanej zbytniem rozdzieleniem postaci. W akwarelowym portrecie młodego Krasińskiego, pędzla p. Tepy, ileż znów uduchowienia tej twarzy, świateł i brzasków a subtelności puchowych, — jakie jej szlachetne pojęcie!

Uczennica p. Franciszka Tepy, p. Marja Micewska we Lwowie, przysłała wdzięczną głowę ruskiej mołodycy, nęcącej świeżością i naiwnością, a czystej i świętej w swojej prostocie, bogatej duszą szlachetną w regularnych ale drobnych, niewyżłobionych namiętnościami rysach.

Z humoresków akwarelowych p. Karola Göbla zwracają powszechną uwagę przedewszystkiem: Muzykanci w wędrówce pośród śnieżnej zawiei. To może zapusty; oni idą przygrywać ochoczym tanom, ależ bo i natura hula i gwiżdże wiatrem i tańczy zamiecią. Oni okutani szalami, chustkami dążą do poblizkiego miasteczka; to błędni rycerze, piewcy czeskiej cywilizacji. W uczczeniu kardynała rzymskiego przez konwiktorów duchownych, może więcej interesującym kolorytem lokalnym i charakterystyką twarzy, przypomina nam Göbel pracę Heilbutha z zeszłorocznej wystawy paryskiej. I tutaj mistrzowsko uchwycone poczucie wysokiej pozycji u dwóch wysłużonych fagasów w urzędowej powadze a samowiedzy misternych wpływów swych wywieranych pochlebnem dogadzaniem humorowi Monsignora. Kardynał z lisią łaskawością przyjmuje korny hołd młodzieniaczka w sułtance przejętego aktem dotykania usty swojemi żywych relikwij przyszłego może świętego; opodal w sztywnych, choć niby niedbale połamanych postawach, pod murem ustawieni szeregiem przyszli dygnitarze kościoła. Na tle głębokiem pyszni się kopuła św. Piotra, szkoda tylko, że palma tu dyssonansem, bo przypomina nam afrykański krajobraz i psuje wrażenie Romy, serca romańskiego świata. Zresztą zrobimy uwagę, że palma rodzimą jest w Neapolu dopiero.

Karola Młodnickiego scena z targu w Czerniowcach rozciekawia charakterystyką miejscowych postaci, nadewszystko odrębnością ubioru, rysów i wyrazu twarzy Rumunek. Niestety tło zamiast pozostać w szczegółach niewykończonem, jest niewyrobionem a razi grubością konturów.

P. Grabowskiego „teatr lwowski po bombardowaniu" odżywia wspomnienia naszego karnawału politycznego. Wybornie ustawił w obrazku swym intelligentnego szewczyka rozpowiadającego podsiwiałemu wieśniakowi o ciężkiej krzywdzie naszego grodu, barbarzyństwach dzikich, etc. etc. etc. Obrazek ten grzeszy cokolwiek niespokojem kolorytu, zbytnią pstrokacizną cegieł i wapna niżby to przystało na ruiny, zresztą tak bogate liniami i perspektywą w mnóstwie ścian piętrzących się po za sobą.

Na tem skończymy o akwarelach brakiem miejsca powodowani, wyliczając jedynie te z nich, które przeważnie interesują publiczność; wspomniemy chyba jeszcze, lubo zbyt może pobieżnie, o pamiątkowej pracy p. Dzbańskiego, przedstawiającej otwarcie uroczystości sypania kopca unji Lubelskiej przez p. Smolkę na Wysokim zamku, gdzie znajdujemy tyle twarzy znajomych trafnie odportretowanych. Wreszcie o portrecie pani M. przez p. Karola Młodnickiego zrobionym kredą, w którym wydobył tyle uderzającej indywidualności. Nakoniec o pastelu p. Kornela Cybulskiego z Bochni, dającym rodzinę świętą z dobrem obrobieniem karnacyj i wyrazu twarzy uspionej Madonny.

Zwykłym pojawem w dziejach swoich człowiek, gdy próbuje sił własnych, pokusza się o podołanie najcięższym zadaniom. Filozofia przedsokratesowa badała Bóstwo; przed Verulamskim Baconem dysputowano subtelnie, ile też aniołów pomieścić się może na ostrzu od igły. Alchemiści usiłowali odkryć pierwotną materję i poruszenie jej pierwsze, aby niemi dowolnie kierując, ułożyć cokolwiek lepiej, jak im się zdawało, niedokończone jeszcze stworzenie, dla siebie zaś złoto i wieczne życie na ziemi. Niemcy swoją literaturę rozpoczynali Noachidą, Messyadą, Mariadą, zaczem dali światu piosnki Heinego, — i nasza też epopea długo się od „kalauzu do aplauzu" błąkała; świadkiem wojna chocimska i historyczne spiewy — a dzisiejsi nasi malarze, gdy który z nich nie jest pierwszorzędnym talentem, właśnie dlatego rozpoczyna prac olejnych szeregiem, odpowiednich niby materjałem ważności

założenia, ale bez studiów historycznych i charakterowych, bez przygotowania się należnego w technice, by podolać takim zadaniom. Niedziwno zatem, że oczekiwania widzów zawodzą, pomimo szczerych chęci „działania na masy“ ze strony artystów. Obrazy takie, jak Piotrowskiego Wanda rzucająca się w Wisłę, nie z determinacją wyniosłą, ale z wielkim żalem za światem a lamentem panien służebnych, — pomimowoli przywodzą ci na myśl dzieła Matejki, co jak piorun wstrząsają umysłem, gdy tutaj w miejsce przyrzeczonych brylantów zaledwie dali ci srebro; bo ramy i wielkość płótna to jeszcze za mało tej publiczności wybrednej, tak radej prawić, że np. obrazki Corregia sprzedają się po 150 tysięcy franków i więcej chociaż niewiększe od ćwiartki papieru. — Już nawet techniką niezaleca sią „znalezienie zwłok Wandy“ Lessera. Koloryt nieżywy, ale i nieposępny, nietragiczny i niezamarły; niemając nic o nim do powiedzenia, niemożemy orzec o stosowności onegoż. Draperje nieuwydatniają członków ani też idądobrze za niemi, by spotęgować ich ruch, rysunek tychże jak i muskulatury rybaków niepoprawny, ugrupowanie powzięte z jakiegos tableau na małomiejskim teatrze, wreście razi trup Wandy kokietującej białem pulchnem ramieniem. To nie imponujący Barbary trup w obrazie Simmlera, taką grozą ściskający ci duszę, widokiem piękności i wielkości królewskiej oddanej zgniliźnie — ani w nocy miesięcznej na powierzchnię wody podpływający trup utopionej w Renie dziewczyny, pędzla niemieckiego malarza.

Anekdotą dziejową, bo niema tu idei ani faktu stałej doniosłości w losach narodu, aby historyczny utworzyć obraz, anekdotą więc w malarskiem słowa znaczeniu, jest Suchodolskiego z Warszawy „Szturm Saragossy.“ Jakże tu ciasno dla oka widza, jak flegmatycznie a jakby u dzieci bawiących się w żołnierze odbywa się szturm ten, niechaj powiedzą ci, co boju zaznali. Niesiląc się na perspektywy, dlaczegoż raczej sposobem starożytnych malarzy bitw, niewymalował artysta rozstrzygającego zetknięcia się przeciwnych zastępów na samym wyłomie — zapamiętałość zachwianą z jednej, z drugiej zaś strony przemagający entuzjazm. = Także anekdotą dziejową a obrazem walki ma być Eliasza „Stefan Czarnecki broniący Krakowa od Szwedów.“ Chyba tu tylko żupan biały wodza wymalowany dobrze i kule żelazne, bo nawet w malowaniu samem usterki znajdziesz, np. w ręce, spoczywającej na murze plastyczniej, wyraźniej obrobionym niżli ta ręka, temsamem tonąca w nim a nie odstająca; wreszcie surowością jakąś to trąci i znać że malarz chciał naśladować Matejkę, ale powziął zeń tylko surowość, by mylnie jej użyć. Postacie same nieodstają od tła, na którem znów walka bezpieczna, leniwa, na żarty, albo jak to bywa w teatrze; więc twarze postaci przodowych takie spokojne, że spokój ten niby dusz wyższych ponad niebezpieczeństwo życia własnego, przeszedł tu w spokój jakoby panów rajców przyjmujących uprzejmie deputację chłopiąt znoszących im kule. *(D. n.)*

Zapiski teatralne.

Gościnne występy p. Heleny Modrzejewskiej. Frou-Frou dramat w pięciu aktach pp. Meilhac i Halévy.

Sztuka dramatyczna francuzka od czasu klasycyzmu, raczej pseudo klasycyzmu niepotrafiła stanąć na tym piedestale prawdziwej tragicznej wzniosłości, na jakim świat cały ujrzał poezję w ogólności a w szczególe dramat niemiecki, w perjodzie *zachodu literatury* Germanów. Najgłówniejszymi przedstawicielami tej epoki są Schyller i Goete.

Nawet dramat klasyczny u Niemców — cała poezja przyspobiona przez Gottszeda a potem skrystalizowana siłą formy i treści w Lessyngu, ma bardziej rzeczywistszy charakter klasycyzmu, od dramatu i poezji francuskiej. Kornell i Rasyn twórcy klasycznego dramatu literatury francuskiej tylko formą i to nie zawsze odpowiadającą celowi, a treścią nigdy. Często w dramacie klasycznym zasadzało się wszystko na wymówieniu jednego wzniosłego słowa; stało się to w owym czasie manierą, krępującą rozwój istotnego dramatu.

Nie było więc podstawy zasadniczej w dramacie francuzkim takiej, jaką widzimy u Niemców w Lessyngu, a następnie w dramacie Goetego i Schyllera. Brak tej podstawy bez znajomości Shakespeara (bo tego do ostatnich prawie czasów niewystawiano na francuskich teatrach) musiał doprowadzić do obracania się tylko w szczupłych ramach napuszystości i konwencjonalizmu.

Inaczej dzieje się z komedją francuską. Molière stał się tu wzorem i jego kreacje odźwierciadlają się do dnia dzisiejszego w komedji jego naśladowców z tą tylko różntcą, że on komizm i śmieszność wcielił w swoje twory, biorąc go jako jedyny przedmiot z całego niemal społeczeństwa swojego, rozwijając przytem ideję etyczną — moralności; jego zaś naśladowcy w nowoczesnej komedji obracają się w sferach półświata paryskiego, cierpiącego na chroniczną chorobę roztroju życia rodzinnego i społecznego — niemoralności.

Komedja — a raczej dramat typowy *Frou-Frou* w którym ujrzeliśmy p. Modrzejewską w roli tytułowej, styka się już bardzo blisko z tym paryskim Demi-Monde, i chociaż nie grzeszy zbytnią moralnością, nie jest jednak znowu bardzo niemoralnym. Frou-Frou, ów charakter kobiety, w którym wady i zalety tak są zmieszane, w którym zalety pod wpływem jednej chwili uniesienia przemieniają się w wady, oto bohaterka którą poeta wprowadził do swojego dramatu. Badając psychologicznie postać, którą p. Modrzejewska z taką subtelną, istotną prawdą uwydatniła, mimowoli zapytać się musimy, czy kobieta taka, jaką jest Frou-Frou, jest kobietą, któraby istnieć mogła w społeczeństwie; czy też jest anomalją. Trudno jest

doprawdy widzieć kobietę, którąby miłość rzeczywista nigdy nie owładnęła, w którejby się miłość prawdziwa nieobudziła nigdy— a jednak w Frou-Frou widzimy to: ona kocha ale pod wrażeniem tylko chwilowem, a potem wrażenie znowu chwilowe tylko, wiedzie ją do występku; nie jest to nawet kobieta, której usposobienie, miałoby cechę temperamentu, albo dla którejby miłość i dążności moralne były potrzebą,— nie, w niej nawet charakteru nie ma. Każdy jej zamysł, kaprys nawet — jest postanowieniem, postanowienie czynem, wykonaniem, a wszystko razem w ciągłym chaosie, w ustawicznej z sobą sprzeczności, wytwarza tak zwany charakter typowy. Czy w niej jest uczucie, czy to uczucie drga całą siłą w obec obowiązków żony i matki, wcale nie, a dla czego? bo to Frou-Frou stało się jej typem, zagarniającym każdą jej pobudkę do zwrotu na drogę poprawy, ta dziecinność która tak długo przedłużyła się w jej życiu, niedając się rozwijać rozumowi i rozsądkowi, ta dziecinność i ta lekkość typowa, która w chwili konania nawet jeszcze raz zabłysła jak meteor, aby na wieki zgasnąć, — to wypowiedzenie: „że po mojej śmierci balową białą suknię moją ustrójcie drobnemi różami i mnie nią ustrójcie, o bo ja i po śmierci muszę być piękną, będę piękną, zobaczycie,“— dostatecznie charakteryzuje wietrzne i puste wnętrze Gilberty. Po takim określeniu możemy powiedzieć, że to jej usposobienie jest chorobą, a ona typem chorobliwym.

Pani Modrzejewska, której talent zrównać można z monachijską Ziegler, jaśnieje całym wdziękiem, całą potęgą kreacji wybornie pojętej i wykonanej. W roli Gilberty z całą lekkością i swobodą oddała w pierwszym akcie naiwną, dziecinną dziewczynę w której serce jeszcze nie obudzone.

Już w pierwszym akcie widzimy w zawiązku rozwiniętą potem Frou-Frou. Jest ona tu motylem zbyt wesołym, zbyt trzpiotowato obojętnym na to wszystko, co się w około niej dzieje, jest lubą, słodką, ale pustą zarazem, i równie, obojętnie patrzy na dwóch pretendentów starających się o jej rękę, p. de Sartoris (p. Leszczyńskiego) i hrabiego Valréas (p. Szymańskiego). Idzie za mąż za hrabiego de Sartoris z wolą ojca, który także jest trzpiotem, a co gorsza jest człowiekiem lekkiego i wolnego życia. Gilberta oddaję rękę hrabiemu i ta chwila przemienia ją właściwie w postać, która się rozwinęła w następnych aktach sztuki. Oddaję rękę bez namysłu, bez rozwagi, nie wnika w głąb' uczucia, jej zamęście jest tylko przyjemnostką, chwilą rozkoszy, kaprysem! Nie ma w niej nic trwałego, nic nie jest dla niej świętem, ani ojciec, ani siostra, teraźniejszość wystarcza, w przyszłość nie patrzy. P. Modrzejewska w tym akcie powinna być wzorem dla naszych artystek, które nieraz jako naiwność uważają bezmyślne trzepotanie się po scenie, jej lekkość i swoboda akcji, jej modulacja głosu, wszystko było wykonane z zachwycającym artyzmem.

Od aktu drugiego artystka stanęła na właściwym gruncie swojego talentu. Sprzeczność szalona charakteru Gilberty, ta miłość grzeszna, jaką w niej wzbudził p. de Valréas, chwilowe przypomnienie sobie obowiązków i przywiązanie dla syna i męża, upadek jej w jednej chwili szału, to wszystko przedstawia dla artystki trudności, które też przez p. M. zostały zwycięzko pokonane, tak że nawet wady w samym pomyśle autora umiała artystka grą swą złagodzić, a jej Gilberta piękniejszą jest i szlachetniejszą, jak ją sam autor pojmował. Wszystkie najbardziej subtelne i najdrobniejsze odcienia, niemniej szalone porywy Gilberty oddała p. M. od początku do końca z całym mistrzowstwem, zachwyciła najwznioślejszą naturalnością.

Próba w scenie z Indyany i Charlemagne wywołała chuczne oklaski, bo ileż tam było prawdy, ile wdzięku, i oryginalności, a chociaż tak mało znacząca rzecz z niezmierną łatwością przychodzi artystce, to właśnie oryginalność podnosi ją do prawdziwego piękna.

Do miejsc które na wyżynach artyzmu postawiły p. Modrzejewską w tym dramacie należą: scena ze siostrą, ta niby obojętność, która potem wywołała wir gwałtowny w jej duszy i spowodowała upadek Gilberty, następnie scena w Wenecji i ostatnia scena aktu piątego, śmierć biednej Frou-Frou.

W tych miejscach p. Modrzejewska tragizmem podniosłym przejęła publiczność do głębi.

Panna Rudkiewiczówna w roli Ludwiki mimo najszczerszej chęci nieodpowiedziała swemu zadaniu, były miejsca w których istotnie czuła to, co mówiła, ale nie jej wina, że nie podołała roli, która jest dla niej niewłaściwą. P. Królikowski w roli Brigarda pominąwszy miejsch w których był zbyt nieco rubasznym pojął rolę bohatera pół-świata paryskiego, szczególniej w chwilach prawdziwego komizmu. O pp. Szymańskim i Leszczyńskim można to chyba powiedzieć, że pierwszy zamiast zapału kochanka, był nieco sentymentalnym — a drugi niepojął zupełnie nieodpowiedniej dla siebie roli, był sztywnym i zawsze stawał w sprzeczności artystycznej z p. Modrzejewską, nie był w harmonji z całą akcją, którą z taką czystością kształtów artystka wytwarzała.

Pani German w roli baronowej nieuwydatniła może charakteru tego z taką precyzją, z jakąby należało, jednak obok p. Królikowskiego przyczyniła się do podtrzymywania jakiej takiej spójności całego przedstawienia.

S.

Hamlet tragedja Shakespeara w pięciu aktach przekład Krystyna Ostrowskiego.

Jeżeli o kim można powiedzieć, że jest poetą kosmopolitycznym, to niezawodnie że jest nim Shakespeare. Je-

njusz jego dotyka całej ludzkości, szuka pierwiastków do swoich arcydzieł dramatycznych nie tylko w swojej ojczyźnie, ale sięga po nie i do innych narodowości, uderza ogromem swoich natchnień o Germanów, o plemiona romańskie, słowiańskie. Shakespeare, jako przedstawiciel epoki w której żył, jest jakby granicą przedzielającą dawną od nowej epoki europejskiej, i przechylił się właśnie na stronę nowszą, pojęć nowszych, stał się poetą narodowym i całego świata, i dotąd w podziw wprowadza dziełami swojemi całą cywilizację dzisiejszą, bo pięknem tworów i ich głębokością skrystalizował się w potomność na wieki.

Częstokroć treścią do dramatów Shakespeara były legendy albo nowelle. Jedna legenda, nowella wystarczyła do tworzenia najgenjalniejszych dramatycznych jego pomysłów. Z takiej legendy powstał i *Hamlet*, który pod względem odbicia epoki, będącej tłem do tego dramatu i postaci zrośniętych duszą i ciałem z tąż epoką, jest może najbogatszym w kreacje tragiczne, najwięcej w nim natrafić można tych prawdziwie pięknych wzniosłości cechujących tylko jenjuszów. Żaden dramat Shakespeara niema może tyle oryginalności, głębokości i rzeczywistego tragicznego efektu, żaden może nieuosobił postaci z tak wielkim umysłem, i tem nawięcej wnikającem do samego wnętrza usposobieniem, jakie widzimy w *Hamlecie. Hamlet* podług sądu najznakomitszych krytyków *jest tragedją myśli.*

Wspomnieliśmy, że *Hamlet* ma żródło swego istnienia w legendzie; niepiszemy osobnej rozprawy o tej tragedji, więc niemożemy przytoczyć treści legendy całkowitej, ale koniecznością jest powiedzieć, zkąd się ona wzięła, i jaką drogą dostała się do Anglji, a potem do Shakespeara. Otóż legenda ta, znajduje się w bajecznych podaniach historji Danji, napisanej przez dziejopisa Saxa Grammatyka, zkąd francuski pisarz Belleforest w połowie XVI. wieku zebrał wszystkie legendy i ogłosił drukiem tak zwane swoje Historje Tragiczne. Podania te były w bardzo krótkim czasie po ich wyjściu przetłumaczone na język angielski i dostawszy się do Shakespeara zwróciły jego uwagę i stały się pobudką do napisania dramatu, osnutego na faktach jednej z legend. Hamlet jest płodem dwudziestoletniego młodzieńca, napisany w roku 1584, jak przekonują nas o tem najnowsze badania, a potem o wiele później przerobiony, jest właśnie takim, jakim go obecnie widzimy lub czytamy po tysiącznych wydaniach dzieł Szekspirowskich.

Legenda ta w wyobraźni wielkiego poety znalazła mistrza — i Hamlet, królewicz, obłąkany, ale jedynie dla tego, że to obłąkanie, *przy jego naturalnem usposobieniu, marzyciela* koniecznem było, bo ono miało być środkiem niejako do pomszczenia śmierci ojca. Hamlet ów marzyciel roztropny, bo wnikający z największą przezornością w intrygi otaczających go, namiętny i tajemniczy, pod piórem jenialnem Shakespeara stał się bohaterem pełnego siły i najpotężniejszego tragizmu.

Legenda ukazuje nam Hamleta, który obmyślił obłąkanie, grał rolę obłąkanego, aby tem prędzej zdążyć do celu do zemsty. Hamlet Shakespeara jest innym wznioślejszym psychologicznie: taczarna osłona, ciężąca nad jego umysłem, to nie ścisła rozwaga, która sobie naprzód plany obmyśla; Hamlet jak go nam ukazał poeta, jest w stanie pewnej chorobliwości, a ta choroba jego duszy jest czysto ludzką, jest bardzo naturalną w społeczeństwie, w którem „czuć zgniliznę“, jak powiada Hamlet — a taki stan spółeczeństwa prowadzi ludzi do obłędu, w końcu do szaleństwa. Hamlet, widząc tę niesprawiedliwość w społeczeństwie swojem — to złe, które bezpośrednio jego i ogół dotyka, przekonawszy się o zbrodni dokonanej na ojcu, z natury drażliwy i gorączkowy, z melancholicznym usposobieniem, nic dziwnego, że po objawieniu się ducha ojca — popadł w niemoc chwilową, stał się filozofem smętnym wobec niebezpieczeństw, jakiemi był otoczony. Shakespeare, w tę duszę królewicza chorobliwą, z właściwym sobie poglądem na ludzi, tknął jednak i to, co najbardziej przywiązuje widza do bohatera dramatu. Hamlet bowiem jego odznacza się szlachetnością, jest hojnie od natury obdarzony, jest przystępny dla wszystkich, serdeczny — i czujący głęboko.

Zwróćmy się teraz do Ofelji. Shakespeare ze wszystkich kobiet swoich dramatów najmniej rozwinął charakter Ofelji, najmniej go wykończył, jest to widocznem dla każdego, kto głębiej wniknął w dzieła wielkiego poety. Niektórzy z niemieckich krytyków upatrują w tragedji, o której obecnie mówimy, że głównemi postaciami jej są Ofelja, Laertes i Poloniusz; twierdzenie to jednak jest mylnem, bo Hamlet przedewszystkiem stoi jako pierwszy bohater tragedji, a dopiero inne postacie rozwijają dalszy przebieg tej kreacji Szekspirowskiej. Zgodzić się jednak musimy z tem, że Laertes należy do bardzo ważnych postaci, może najważniejszych, ponieważ ma tenże sam cel co i Hamlet: zemstę. Ofelja przeto, tak jak ją Shakespeare nakreślił, jest dziewicą piekną, z której wdzięków, usposobienia, tchnie najczystsza słodycz, jest miłością uosobioną. Kocha wszystkich — bo miłość, to jej druga natura — kocha ojca i brata — bo oni dla niej najbliżsi, — kocha królewicza, a gdy brat ją przestrzega, że grozi jej niebezpieczeństwo, to smutek tylko pokrywa jej czystą i anielską duszę, ale uczucia jej zachwiać nie może. Ojciec odrywa ją od Hamleta, każe jej wszystkie dary zwrócić królewiczowi, ona cierpi, lecz idzie za głosem ojca. Hamlet obrzuca ją szyderstwami, ona boleje strasznie, a jednak kocha jeszcze. A gdy Hamlet zabił jej ojca, wtedy już Ofelja pokonać nie mogła tego ogromu boleści, która wstrząsnęła całym organizmem jej duszy i serca — nastąpiło obłąkanie — ale i w niem nie straciła jeszcze właściwego sobie charakteru, owszem była Ofelją jeszcze czystszą, jeszcze w niej więcej zajaśniało tragicznego wdzięku. Tę postać tak eterycznie

piękną, p. Modrzejewska, niepowiemy żeby ją pojęła, toby było zamało, niepowiemy że Ofelję uwydatniła taką, jaką stworzył Shakespeare, toby dla tak wielkiej artystki łatwem było, ale że to, co poeta ledwie naszkicował, wykończyła grą swoją i uzupełniła niejako, i postawiła Ofelję na najwznioślejszym szczycie tragizmu, tak, że tę duszę dziewiczą, miłość Ofelji, tak w blasku umysłu i jasności życia, jakoteż i obłąkaną, jednakże z tym samym pierwiastkiem psychologicznej czystości, jakby czarem doprowadziła w kreacjach swoich do rzeczywistego klasycyzmu, do jego spokoju i świetności. Widząc taką Ofelję, jaką nam p. Modrzejewska ukazała, dochodzimy do tego przekonania, że postać ta staje się pierwszorzędną, ale nie w dramacie Shakespeara, jak twierdzą krytycy niemieccy, ale na scenie, kiedy nasza artystka z Ofelji wytwarza całą jasność piękna nieskończonego, całą jego wielkość! (Ofelja w rozwoju akcji w dramacie zajmuje dopiero czwarte miejsce. Obłąkanie Ofelji w grze p. M. mając cechę nieporównanej prawdy i prostoty odzwierciedla miłość, która jest całą treścią charakteru Ofelji, która sama dla siebie jest rozkoszą, punktem środkowym całej jej istoty, celem jej bytu a te ciosy, które gromem spadły na Ofelję, istoty jej wewnętrznej, tego jej psychologicznego „ja", niemogły zburzyć. To Ofelja wzniosła i szczytna jak piękno arcydzieła — a Hamlet? Choć może krótko ale pomówmy i o niem, bo to przecież bohater tragedji. Streściwszy w kilku słowach charakter Hamleta okaże się, że jak z jednej strony królewicz jest melancholicznym myślicielem i filozofem ironizującym życie i świat, jest szyderskim, ponurym, tak z drugiej strony Hamlet jest to marzyciel chory moralnie, ale na jego duszy nie ma plamy. Czy p Szymański przyjąwszy rolę tytułową pojął ją należycie, czy grą swoją odcieniował to psychologiczne usposobienie Hamleta, czy odzwierciedlił go, nie mówimy z wyższem pojęciem, ale czy zachował choć pozory prawdy? — na te pytania niech lepiej sam Hamlet odpowie, dając uwagi estetyczne aktorom mającym przedstawić morderstwo Gonzagi w akcie III. scenie II.

Oto słowa Hamleta:

Nie bądź też nadto ckliwym; niech rozwaga
Natchnieniem rządzi; stosuj grę do słowa,
A słowo do gry, mając to na względzie
Byś nieprzekraczał prawdy i natury;
Przesada bowiem jest zboczeniem sztuki,
A której cel, jak zdawna tak obecnie,
Był, jest i będzie, prawdy być zwierciadłem,
Przedstawić własne jej oblicze cnocie,
Jej obraz zbrodni, a duchowi wieku,
Światowym dziejom, postać ich i piętno.
Gdy to prześcigniesz lub gdy niedosięgniesz,
Chociaż w motłochu śmiech jałowy wzbudził,
Zasępisz tylko zdrowy sąd mających;
A z których grona jeden głos nagany,
Przeważa tłumnej publiki oklaski.

Nie jesteśmy sędziami, którzyby z góry wszystko potępiali — do wypowiedzenia jednak zdania, że rola ta nie jest dla p. Szymańskiego, skłania nas jedynie życzliwość dla artysty, który w rolach zupełnie odrębnego kierunku wcale jest niezłym. Niepotępiamy w zupełności Hamleta, nie — owszem podnosimy jedną jego zaletę, nawet bardzo ważną: był młodzieńczy, marzycielski i czysty duszą — ale to jedna tylko jego zaleta, po za tą niema nic, próżnia — i raczej w Hamlecie p Szymańskiego widzieliśmy egzaltowanego amanta i unoszącego się nadmiarem wykrzykników — zamiast zobaczyć uszczypliwego filozofa, a zwłaszcza myśliciela, mędrca, który był praktycznym, bo wiele rozmyślał nad życiem ludzkiem. Wszystkie te skarby tak pełne psychologicznego tragizmu umarły w p. Szymańskim — niepodołał im zupełnie!

Właściwie jednak winną tu jest Dyrekcja, która tak jest despotyczną, że artysta musi koniecznie każdą rolę przyjąć, jaką mu dadzą. Pan Dyrektor kieruje się zasadą, że dobry aktor w każdej roli powinien być dobrym, każdą grać powinien — i dla tego też nie wyrobi on nigdy specjalności w artystach, ale zmarnuje każdy talent, jaki się dostanie w jego nieumiejętne ręce.

S.

Sprawy stowarzyszeń.

Wydział centralny Towarzystwa wzajemnej pomocy Oficjalistów prywatnych przedłożył temi dniami do zatwierdzenia Rządu statut Towarzystwa w myśl uchwał Rady nadzorczej zmieniony. — Poczynione zmiany polegają głównie na rozszerzeniu dobrodziejstw Towarzystwa i na innych ludzi pracy; tudzież na możności przystąpienia do Towarzystwa i żonom członków jego z prawami takiemi, jakie dotychczas tylko Oficjaliście prywatnemu przysługiwały, dalej na wyłączeniu z funduszu ogólnego datków jednorazowych i wsparć na pewien przeciąg czasu przez tak zwanych dobrodziejów i członków wspierających ofiarowanych, które jako fundusz dodatkowy wyłączną własność dotychczasowych członków rzeczywistych stanowić będą, a na koniec na ustanowieniu wysokości zapomóg stałych z uwzględnieniem lat należenia do Towarzystwa.

Pomijając rozszerzenie Towarzystwa, możność przystępywania do niego żonom, a wreszcie i to ze wszechmiar dla dotychczasowych członków korzystne, wyłączenie a względnie rozłączenie kapitałów, jako rzeczy, które się same przez się zalecają; przychodzimy do wysokości zapomóg stałych, które z uwzględnieniem lat należenia do Towarzystwa ustanowienie zostały jak następuje.

Członek w warunkach do tego zostający, będzie pobierał tytułem zapomogi stałej.

1) po 5 latach należenia do Tow. aż do 10 lat połowę wkładek
2) od 11 „ „ „ „ „ „ 15 „ „ „ i 5%
3) „ 16 „ „ „ „ „ „ 30 „ „ „ i 10%
4) „ 21 „ „ „ „ „ „ 25 „ „ „ i 15%
5) „ 26 „ „ „ „ „ „ 30 „ „ „ i 20%
6) „ 31 „ „ „ „ „ „ 36 „ „ „ i 25%

tak, iż zapomoga stała od jednego udziału licząc wyniesie:

1) po 5 latach	należenia	do	Towarzystwa	10 zł.	— ct.
2) „ 10	„	„	„	20 „	— „
3) „ 15	„	„	„	31 „	50 „
4) „ 20	„	„	„	44 „	50 „
5) „ 25	„	„	„	57 „	50 „
6) „ 30	„	„	„	72 „	50 „
7) „ 35	„	„	„	87 „	— „

przyczem się zauważa, że przy obliczeniu zapomogiej stał każdy rok należenia do Towarzystwa uwzględnionym będzie.

Jeżeli tedy zważymy, że dla zabezpieczenia sobie takiej renty w zakładach asekuracyjnych premia roczne są nieporównanie wyższe od owego udziału, który po 35 latach należenia do Towarzystwa członków stałą zapomogę w bardzo nawet znacznej wysokości zapewnia; mamy nadzieję, że oziębli dotąd dla Instytucji członkowie i nieczłonkowie Towarzystwo owo co raz nowymi członkami zasilać, dobrodzieje zaś i członkowie wspierający nietylko funduszów jego zasilać nie przestaną, ale owszem w dobrze pojętym interesie własnym dotychczasową działalność swą podwoją, i na innych dotąd również Towarzystwu niechętnych rozszerzą.

W końcu apelujemy do młodszych ludzi pracy, ażeby się od przystąpienia do Towarzystwa nie odciągali, gdyż w ich ręku spoczywa przyszłość instytucji, która młodszych i niezużytych sił do pracy i sił do poświęceń zdolnych potrzebuje i zawsze potrzebywać będzie. *Adolf Stroner.*

Kronika literacka.

Nie od narzekań na brak ruchu w wydawnictwie, ale raczej na jakość tego ruchu, wypadałoby zacząć naszą kronikę. Zbyt wiele rzeczy lekkich, zbyt mało prawdziwego pokarmu ducha,— w piśmiennictwie tak zwanem pięknem, więcej lekkości i zaniedbania niż prawdziwego piękna — rzeczy poważnych mało... bardzo mało. Ale ocenienie obszerniejsze naszego ruchu literackiego i pojedyńczych jego pojawów, zostawiam kolegom moim z frontowych kolumn Gazety Lit. ja zaś ograniczam się na samych wzmiankach o rzeczach nowo wydanych.

Z rozpoczętych większych wydawnictw zwraca najprzód uwagę I. J. Kraszewskiego Biblioteka pamiętników i podróży po dawnej Polsce. Wydano dotąd cztery tomy, a mianowicie:

Polska w r. 1793 — według podróży Fryderyka Szulca. Jest to przekład w wyciągu dzieła: „Reise eines Liefländers von Riga nach Warschau“ — wydanego w Berlinie w latach 1795 — 1797.

Tom drugi zawiera skrócony przekład pamiętników Hansa Schweinichena do dziejów Szląska i Polski 1552 — 1602, dokonany przez Hieronima Feldmanowskiego. Ciekawy to bardzo zabytek XVI wieku, naiwnością swą i prostotą malujący wybornie ducha owych czasów.

W trzecim tomie zamieścił wydawca pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego z autografu francuskiego przełożone przez Bron. Zaleskiego. Pamiętników było znacznie więcej i być może, że się gdzie jeszcze wynajdą. Archiwum Czartoryskich w Paryżu posiada tylko dwa pierwsze wolumina, z których wyjątki niektóre wydał był Zupański, a inne ogłoszono w Roczniku Tow. historyczno-literackiego w Paryżu r. 1866 całość tych dwóch woluminów, sięgającą po rok 1758 podano w 3cim tomie Biblioteki.

Tom czwarty zawiera Notaty Generała brygady Wielkopolskiej kawalerji narodowej 1775 — 1778.

W dalszych tomach przyrzeka nam wydawca: J. H. Müntza podróże po Polsce, Pamiętniki Lasoty ze Stablewa z XVII wieku, następnie nowe wydania z objaśnieniami i przypisami pamiętników Paska, Ogińskiego, Wybickiego, Kitowicza, Komarzewskiego, Ochockiego, Drzewieckiego, podróże po Polsce Niemcewicza, notaty Guèreta, pamiętnik Janczara, tłumaczenia Vautrina, Coxe'a, Herbersterna, relacje włoskie wedle rękopismów Albertrandego, i nowych wyciągów z akt weneckich, podróży Genbrianta, Beauplana, Choisnina, Deleraca i t. p. Wydanie samo bardzo piękne i poprawne — cenny materjał dla dziejopisów i w ogóle miłośników rzeczy ojczystych.

Gdy mowa o historji, zapisujemy: B. Kalickiego, opowiadania z dziejów Polski. Część I. Epoka Piastowska — Lwów 1871 — i Teodora Morawskiego; Rys dziejów porozbiorowych. — Poznań 1870 — tudzież: Dzieje Narodu Polskiego, część I Piastowie. Poznań 1871.

Gustaw Roszkowski w Krakowie, wydał rozprawkę: O istocie i znaczeniu filozofji prawa.

Bolesław Limanowski: O kwestji robotniczej. Lwów 1871. Krótkie wyjaśnienie dążeń robotników w Europie, przeprowadzone treściwie i z dobrą znajomością rzeczy, tendencja cała zawiera się w końcowym ustępie: „Wiedza i praca spotkały się na drodze, prowadzącej do wspólnego celu. Im ściślejsze nastąpi przymierze między niemi, tem lepiej dla obydwóch.“

Rocznik Towarzystw przemysłowych wydany staraniem Tow. przemysłowego w Pozuanin, zawiera rozprawkę dra Wł. Łebińskiego o Tow. przemysłowych i wiadomości o podobnych Tow. polskich w państwie pruskiem, wreszcie liczne ogłoszenia. Myśl wydawania rocznika takiego bardzo praktyczna. Życzyćby wypadało, ażeby dalsze roczniki były obszerniejsze, i przybrały praktyczniejszą formę kalendarza. Zamieścićby w nich można wiele rzeczy w praktycznym zawodzie przemysłowca niezbędnych, i nie ograniczać się na samych Towarzystwach mających na celu rozszerzanie wiedzy ale zarazem rozciągnąć na wszelkie inne, z których korzystają tak samodzielni przemysłowcy, jak i ich pomocnicy, a mianowicie: zaliczkowe, spożywcze, materjałowe, wytwórcze itp. Dobrzeby też było, gdyby się w tej sprawie Galicja z Poznańskiem porozumieć mogła, i wydać wspólny rocznik. Porozumienie to najłatwiej nastąpić może za pośrednictwem redakcji „Rękodzielnika“— pisma wydawanego we Lwowie przez Piotra Zbrożka, a prowadzonego bardzo praktycznie.

Dr. Józef Kremer wydał w Krakowie mowę swą mianą przy immatrykulacji: „O zadaniu młodzieży polskiej w uniwersytecie Jagielońskiem.“

Spostrzeżeń i uwag dra Skobla o skażeniu języka polskiego w Galicji, pojawiło się już drugie, znacznie powiększone wydanie. Jeżeli szanowny profesor zechce coraz nowemi doświadczeniami wzbogacać swoje spostrzeżenia co do błędnych wyrazów i sposobów mówienia używanych u nas nie tylko w mowach publicznych, ale i w dziennikarstwie, zbiór ten urośnie wkrótce do sporego tomu. Nie da się zaprzeczyć, że jest tam bardzo wiele trafnych uwag i sprawiedliwych zarzutów — ale znaleźliśmy niejedno, co trąci przesadą. Język się coraz rozwija i bogaci — a w rozwoju tym nie podobna uniknąć zawsze wyrazów obcych, lub wręcz z obcego języka przetłomaczonych, a to tem bardziej, że rozwijające się życie przynosi ze sobą zawsze coś nowego, coś przed tem nieznanego, na co daremniebyśmy szukali wyrazu w przepięknej, ale starej już mowie Górnickich lub Skargów. Prosilibyśmy np. szanownego profesora, by nam dał słowo polskie zamiast „telegrafu“— „magnetyzmu“ i t. p.

(NADESŁANE.)

P. P. A. ŻMUDZIŃSKI i M. KOSTECKI właściciele cukierni przy ulicy niższej Karola Ludwika dnia 4. Czerwca otwierają w gmachu teatralnym **„Kawiarnię i filję cukierni.“**

W salonach kawiarni urządzoną została CZYTELNIA, zaopatrzona we wszystkie czasopisma tak krajowe jak i zagraniczne. We filji przeznaczono dla dam i dla niepalących osobny salon. P. P. Żmudziński i Kostecki jak poprzód gustownem urządzeniem cukierni swojej, tak też obecnie przez urządzenie „Kawiarni i filji cukierni“ w guście zagranicznym uwzględniając przytem wygodę gości — przyczynili się do rzeczywistego upiększenia naszego miasta. Spodziewać się należy, iż Szanowna P. T. Publiczność uwzględniając szczere chęci p. p. przedsiębiorców (którzy dla usłużenia Jej prócz poniesionego trudu również znaczne kapitały w to przedsiębiorstwo włożyli), zaszczycać ich będzie częstem i licznem odwiedzaniem. *E. S.*

Inseraty.

Od należytości inseratowej przeznaczamy po pięć procent, a mianowicie na korzyść: **Towarzystwa Opieki Narodowej i emerytury prywatnych oficjalistów w Galicji.**

C. k. uprz. galic. Akcyjny Bank hipoteczny.

KASA ZALICZKOWA GALIC. BANKU HIPOTECZNEGO

2—? **pożycza na zastaw**

KLEJNOTÓW, MONET i EFEKTÓW,

z spłatą w jednym terminie, albo w ratach tygodniowych, miesięcznych lub kwartalnych.

Lwów dnia 20. kwietnia 1871.

Dyrekcja

C. K. UPRZYWILEJOWANY GALICYJSKI

akcyjny Bank hipoteczny

we Lwowie, wydaje

6⁰|₀ LISTY HIPOTECZNE

które są jak najwłaściwsze do lokowania kapitałów.

Listy hipoteczne *mogą według prawa z dnia 2. lipca 1868 D. P. XXXVIII Nr. 93. być użyte na korzystne lokowanie kapitałów funduszowych, na lokowanie kapitałów zakładów publicznych pod nadzorem rządu stojących, na lokowanie kapitałów pupilarnych, fideikomisowych i depozytowych. tudzież w skutek Najwyższego postanowienia z dnia 17. grudnia 1870 na zabezpieczenie kaucyj małżeńskich wojskowych a po kursie giełdowym na kaucje służbowe i wadja.*

Ogólna suma w obiegu będących listów hipotecznych nie może w żadnym razie przenosić sumy równoczesnych wierzytelności hipotecznych i nie może być wyższa nad dwudziestokrotną sumę kapitału akcyjnego rzeczywiście wpłaconego.

Kupony, płatne dnia 1. marca i 1. września każdego roku, jakoteż listy hipoteczne. wylosowane dnia 28. lutego każdego roku, z których jedne i drugie **nie ulegają żadnemu upodatkowan u** wypłacają **bez wszelkiego strącania:**

we LWOWIE, główna kasa Banku hipotecznego i Filie tegoż w KRAKOWIE, CZERNIOWCACH, BIAŁEJ, TARNOPOLU i SAMBORZE.
w WIEDNIU Kantor wymiany bankowy niższo-austrjack. eskontowanego i Union Bank.
w PRADZE Filia c. k. uprzyw. austr. Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu i Filia Union;
w BERNIE c. k. uprzyw. morawski Bank dla przemysłu i handlu;
w BERLINIE pp. Meyer & Comp.;
w WARSZAWIE p. Leon Epstein.

2—?

5 złr. na rok.

Od r. **1869** wychodzi we Lwowie

SZCZUTEK

pismo humorystyczne, illustrowane przez pierwszorzędnych artystów.

Prenumerata kosztuje: 2–?
całorocznie 5 złr.
półrocznie 2 „ 50 ct.
ćwierćrocznie 1 „ 25 ct.

Adres: Redakcja SZCZUTKA, Lwów.

5 złr. na rok. 5 złr. na rok. 5 złr. na rok.

Dr. KARCZ

leczy **słabości weneryczne i naskórne jakoteż osłabienia**, przy wieloletnich doświadczeniach gruntownie. Tegoż ***Poradnik popularny*** jest w każdej księgarni do nabycia. Ordynuje codzień od 8 — 9 i od 2 — 4 godziny w domu pod l. 177 obok arcybiskupiej niegdyś kamienicy w Rynku 2—?

(Także i listownie pod ścisłą dyskrecją.)

Jana Schumanna

we Lwowie przy placu Marjackim

poleca swój obficie zaopatrzony skład oryginalnych pługów **Zugmayera** i tegoż systemu krajowych, niemniej znakomity zapas kós i sierpów styryjskich z najlepszych fabryk jako też i sierpów tak zwanych polskich, wyrobu angielskiego.

Ceny kós i sierpów:

1) Kosy styryjskie ze znakiem „**Ręka**“ niebieskie lub białe, sztuka po 60 ct.
2) Kosy styryjskie ze znakiem „**Korona**“ niebieskie, sztuka po 55 ct.
3) Sierpy z zębami „polskie“ wyrób angielski z rączką, sztuka po 50 ct.
4) Sierpy niemieckie bez zębów, podług wielkości, za sztukę po 22, 24, 28 i 30 ct.

Dziękując Szanownej P. T. Publiczności za dotychczasowe zaszczytne względy i polecając się nadal łaskawej pamięci — donoszę, że każdy obstalunek, po nadesłaniu trzeciej części ceny gotówką, wysyłam natychmiast za pobraniem kolejowem lub pocztowem reszty. 2—?

JÓZEF WEISS

zegarmistrz
WE LWOWIE, RYNEK L. 157.

Poleca

SWOJĄ PRACOWNIĘ,

przyjmując do naprawy i roboty wszelkiego rodzaju zegarki.

Zegary wieżowe naprawia, lub nowe ustawia tak w miejscu jak i na prowincji.

Posiada także

dobór zegarków **trwałych** (od 2 do 50 złr.) **i praktycznych**, z wychwytem walcowym, ankrowym i kotwicznym.



Kupujący zegarek pod gwarancją dwuletnią, otrzyma w dodatku przyrząd astronomiczny wraz z wykazem różnicy zegara dobrze idącego od kompasu.

Wszelkie zamówienia i roboty uskuteczniam jak najspieszniej i najakuratniej. 2—?

FABRYKA

żaluzyj i storów drewnianych

1—6 **J. S. JÜRGENSA**

we Lwowie,

wyrabia i sprzedaje po cenach fabrycznych:

Żaluzje taśmowe lakierowane, **Story** drewniane tkane w różnych kolorach i deseniach oraz z malowidłami, **Parawany, Zasłonki** do okien, pieców i kominków, **Antypedja kościelne, dywany** na łóżka, **Nakrycia** na stoły i t. p. i t. p.

Zamówienia podług wzorów uskuteczniają się w najkrótszym czasie, przyjmują je także handle pp. *F. B. Hahn* w Krakowie, *K. Kopacz* w Stanisławowie, *J. I. Szęgierski* w Czerniowcach, *P. Krohn Bolzandahl* w Jassach, *Lewicki, Iwanicki i Ludwikowski* w Kijowie, *K. Brossmann* w Jarmolińcach.

ŚWIEŻE WODY MINERALNE

sprowadził tego roku **po raz pierwszy**

nowo urządzony **HANDEL KORZENNY** **F. A MERRELLA** pod *„Srebrną gwiazdą“* ulica Halicka l. 295.

Zamówienia uskuteczniają się bezzwłocznie i jak najakuratniej.

J. A. KUNDE

Zegarmistrz we Lwowie,

przy placu Marjackim pod l. 342 miasto, w domu J. O. Księcia Ponińskiego

1—? „dawniej Gromadzińskich“

POLECA SWÓJ SKŁAD

zegarków kieszonkowych srebrnych i złotych z najlepszych fabryk szwajcarskich. — Zegary salonowe francuskie, wachadłowe wiedeńskie i stołowe — zegary szwarzwaldskie i szkockie z kukułkami i bez kukułek — zegary paryskie żelazne stołowe i do wieszania, ekscytarze (budziki) francuskie w postumentach alabastrowych i bronzowych, zegary okrągłe w ramach złoconych i politurowanych, do komptoarów, lokalów kawiarnianych, restauracyj i fabryk — pozytywki wiedeńskie.

Przyjmuje wszelkie reparacje do zegarmistrzowskiego zawodu należące, i uskutecznia takowe dobrze i spiesznie — tak za sprzedane zegarki jak i reparacje ręczy na rok jeden.

Wszystkie zamówienia z prowincji za pobraniem pocztowem lub zadatkiem, uskutecznia prędko i dobrze.

Wszystkie reparacje z prowincji przyjmuje i zwraca pocztą.

W składzie zegarków wyżej wymienionej firmy znajduje się także prawdziwy CHRONOMETER najnowszej konstrukcji, z znakomitą sztuką skomplikowany w cenie 1000 złr. w. a.

Ważne pod względem sanitarnym

WYCHODKI BEZWONNE

konstrukcji dotąd u nas niepraktykowanej; przy zastosowaniu jej bowiem nie potrzeba kanałów.

Wychodki i stolce pokojowe, zupełnie bezwonne i bez rezerwoarów wodnych, dające wszelką gwarancję czystości i niezamarzające porą zimową, urządzam podług nowego systemu tak w budynkach parterowych i piątrowych.

Przez **urządzenie takich wychodków unika się całkowicie wyziewów szkodliwych zdrowiu** i zatruwających podwórza lub kurytarze kamieniczne, usuwa się również stanowczo niemiłe przeciągi, które się częstokroć stają powodem przykrych słabości reumatycznych. **Stolce przenośne** tego pomysłu mogą być nawet w pokojach ustawione, i pod względem bezwonności przewyższają będące dotychczas w używaniu tak zwane Water-Closets.

Przyrząd tego rodzaju można oglądać u podpisanego, i przekonać się o jego zaletach.

W interesie zdrowia publicznego wychodki i stolce wzmiankowane przydają się szczególnie w zakładach ludniejszych, jakiemi są: kryminały, koszary, szpitale, szkoły, fabryki i t. p.

Urządzenia

kloak tego rodzaju

tudzież

przeistaczania istniejących a szkodliwych na nowe i nieszkodliwe podejmuje się

tanio i szybko.

2—? JÓZEF WIEDEŃ,

budowniczy miejski pod l. 455¾
przy ulicy Piekarskiej.

Wydawcy: J. Śliwiński i L. Wisłocki. — Odpowiedzialny redaktor: Jan Śliwiński. Druk K. Pillera